

MARGINESY

AHSAN RIDHA  
HASSAN  
ZABOBON



COPYRIGHT © BY Ahsan R. Hassan 2020  
BY ARRANGEMENT WITH Agencja Literacka Syndykat Autorów

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

*Jesteśmy u końca naszych słów, które już tu stają się majaczkliwe, bredzące i niepoczytalne. A jednak dopiero za ich rubieżą zaczyna się to, co w tej wiosnie jest nieogarnięte i niewypowiedziane. Misterium zmierzchu! Dopiero poza naszymi słowami, gdzie moc naszej magii już nie sięga, szumi ten ciemny, nieobjęty żywioł. Słowo rozkłada się tu na elementy i rozwiązuje, wraca w swą etymologię, wchodzi z powrotem w głąb, w ciemny swój korzeń.*

Bruno Schulz, Wiosna

Ślady, po których idę, prowadzą mnie w górę, w stronę szczytu, ale z każdym krokiem czuję, jak ściągają mnie w dół, pod ziemię. Dopasowuję podeszwy do odcisniętych w błocie bieżników obcego. Szedł tędy późnym wieczorem, być może w nocy. Wyżłobienia zamarzyły na kość, a wraz z nimi zamarzyły grudy ziemi, brudne liście i kałuże, które chrzęszczą pod podeszwą jak deptane szkło. Droga zakręca łukiem obok ściany lasu; w oddali schronisko przytwierdzone do szczytu.

Idę po śladach mimowolnie – moje buty wchodzą w odciski, dopasowują się do tropów obcego, a ja podążam jak lunatyk. Tak jest wygodniej. Na myśl przychodzi mi myśliwy, który ściga ranną, krwawiącą z boku zwierzynę. Ale ja nie tropię zwierzyny, nie planuję jej dobić ani oprawić. Nawet nie wiedziałbym jak. Przypadkowo, krok po kroku, dopasowuję się do chodu innego człowieka, jakbym to ja szedł tą drogą wczoraj po zmierzchu. I dokładnie tak jak ja teraz, ślady odbijają od głównej drogi w stronę zbocza, by po paru metrach zatrzymać się na środku odsłoniętego stoku i tam zamrzeć. Wydeptana ziemia, punkt widokowy na miasto.

Miasto leży u jęzorów gór, stopniowo wyłania się z mgły, smogu i zamarzniętej wilgoci. Jest nieostre, niekonkretne, wygląda jak

kiczowaty oniryzm na płótnie. Wyciągam papierosa, zapalam – to dzisiaj drugi, po debiutancie wypalonym do kawy bez cukru tuż po trzeciej w nocy. Używam zapalek, lubię blask płomienia i smród siarki. Jedną dłoń chowam do kieszeni kurtki, a drugiej, jak dziewczynce z zapalkami, pozwalam marznąć na zimnie. Dziewczynka trzyma peta między palcami. Szybko odczuwam nieprzyjemne szczypanie na powierzchni ręki, szczypanie przechodzi w pieczenie, pieczenie w ból. To dobrze. Ból i papieros wyostrzają zmysły, odklejają rzeczywistość od sennego płótna, obdarzają ostrymi krawędziami i, przewrotnie, konkretnymi ramami. Zatem konkrety: jest szósta rano, początek mroźnego listopada, a ja, Bartek Elbląg, stoję na zboczu Dębowca i patrzę na miasto u stóp Beskidów. Bielsko-Biała drzemie jeszcze spokojnym snem, a wraz z nią śpi większość mieszkańców. W przeciwieństwie do nich od pewnego czasu nie potrafię zasnąć, a jak zasnę, to budzę się szybko z wyrzutami sumienia. Nie wiem, co mnie bardziej męczy – przeszłość moja czy tego miasta. Zastanawiam się, paląc papierosa w piekącej dłoni, czy wybudzić je z tego lepkiego snu, jak siebie samego. Czy wykopać widoczne tam, w dole, trupy.

Świat milczy, ani oburzenia, ani owacji – tylko papieros cicho skwierczy. A dziewczynka sinieje.

Dopalam, bo nie jestem ten małpolud Andersen, rzucam niedopałek obok innych niedopałków i chowam dłoń do kieszeni. Niech się grzeje, zasłużyła. Patrzę na miasto, krótko. Odwracam się i idę z powrotem po wczorajszych śladach, po moich własnych śladach, tam, skąd przyszedłem, w dół, skąd nie widać ukrytych pod ziemią umarłych.

Stoję w pustym pokoju krakowskiej kamienicy, w miejscu, w którym spędzam ostatnie, prawie okrągłe i nie zawsze pączkowe, syte trzy lata moich rozmaitych żyć. Te wszystkie życia dzisiaj kończę, dokonuję automultieutanazji i wchodzę w nowe życie, jedno, wciskam się w nie jak w przyciasny garnitur, buty rozmiar za małe. Albo w biały kitel z rękawami na plecach, tego jeszcze nie wiem.

Pokój jest wielki, choć, podobnie jak reszta mieszkania, pozostaje skarłającym potomkiem ogromnego przodka, mamuta mieszkalnego, okrutnie pokaleczonego i poćwiartowanego przez właścicieli i deweloperów. Kiedyś moja już prawie ekskawalerka stanowiła część wielkiego domostwa przedwojennego, które zajmowało pół piętra kamienicy i zapewne miało i sypialnię, i salon, i pokój gościnny, i gabinet, i pokój dziecięcy, i spiżarkę, i kuchnię, i jadalnię, i nawet służbówkę. Ja wynajmuję pokój z antresolą plus aneks kuchenny, plus kibel z prysznicem. Czasy przyspieszają, a przestrzeń życiowa kurczy się odwrotnie proporcjonalnie do rosnącego czynszu.

Idę w stronę okna stodoły z widokiem na dziedziniec, wysłużony parkiet strzela, siadam na parapecie. Pies Pawłowa szczeka, ale nie wyciągam fajku, nie rozsiadam się wygodnie z gorzkim, czar-

nym fusiastym. Zaraz mam zdać mieszkanie, zaraz przyjdzie pani, pani agent z agencji, wszystko musi być cacy. W umowie deklaruję, że żadnych zwierząt, żadnych papierosów, kobiet też, może w śladowej ilości. Kłamię. Mimo to czuję się jak student, który gorączkowo myśli o swojej kaucji i o tym zadrapaniu na ścianie schowanym za szafą. Raz kozie, trudno. Jestem tu ostatni raz.

Papieros, zapalka, lepiej.

Mieszkanie jest puste, wysprzątane i wyszczotkowane, w stanie niezgodnym ze stanem w dniu przyjęcia: wtedy – monopolowa zieleń na ścianach, teraz – biel, przydymiona gdzieś konturem szafy, łóżka, brudną dłonią; wtedy – lodówka z czasów radzieckich, której jedwabną aktywność agregatu można mierzyć w skali Richtera, teraz – srebrne cudo bez zadyszki; wtedy – długa lista usterek, teraz – rząd chwalebnych medali. Widzę wszystkie niewidzialne i ledwo widzialne ślady, które zostawiam, widzę je jak w ultrafiolecie i trochę mnie żołądek skręca. To ja, to ja z kiedyś. Już nie wrócę, a nawet jakbym chciał, wszystkie meble, książki i szpargały wywiezione do nowego, domu nowego i mnie nowego.

Zostaje pół papierosa, pół fajku, to drugie pół wypalam za oknem, może się pani agent nie skapnie, że łamię warunki umowy rażąco.

Uchylam okno, za oknem fajku, przed fajku dłoń, przed dłonią łeb lewituje na trzecim piętrze z widokiem na: dziedziniec, drzewo, śmietnik i przeciwległą ścianę kamienicy. Kraków, Stare Miasto, czasy współczesne, stężenie smogu w normie, czyli ciężarne matki i astmatycy, wystrzegajcie się spacerów. Kraków jest taki, jakim go zastaję, przyjeżdżając tu po raz pierwszy – niezmiennie broni pozycji byłej stolicy Polski, niezmiennie puchnie studentami i erasmusami w porach: jesień, zima, wiosna, a po wypróżnieniu przyjezdnych w sezonie letnim przedstawia się na dietę złożoną

wyłącznie z turystów. Kilka kultowych knajp zmienia się w kultowe skanseny, gdzie kiedyś to bywał albo tam można ją było spotkać codziennie, urocze kawiarenki z duszą materializującą się pod postacią dymu tytoniowego wymierają w większości na rzecz odpicowanych *we have English menu*, księgarnie i antykwariaty dostają zadyszki w maratonie z empikami, matrasami i powszechną smartfonizacją czasu wolnego, życie kulturalne zmienia się w modny wybieg, bohema w bywalców stand-up barów z piwem za cztery złote. Ach! I Biedronka na Rynku. To nie byle jaka, byle nic nieznacząca marka – to brutalna deklaracja. Coś się kończy, a coś nowego, na pożegnanie, dokonuje gwałtu na starym. Słowem, a raczej słowami Grechuty w akompaniamencie Myslovitz: Kraków jeszcze nigdy tak jak dziś nie miał w sobie tak mało, dopowiadam, z Krakowa.

Zostaje ćwierć fajku, patrzę na zegarek, jeszcze mam trochę czasu.

Rozył się niezdrowo, mój dawny przyjaciel, w stronę ruczajów, górek narodowych i innych dzielnic, pokrywa się postludzkim, prawie science fiction z lat osiemdziesiątych, krajobrazem osiedli okropnych, średnioklasowych, z parkingami, supermarketami typu: albo Niemiec, albo Portugalczyk, a w środku, bliżej centrum, wysypują się węgry w postaci szklano-stalowych biurowców dla burżuazji, do których burżuazja dojeżdża samochodami, zatykając arterie miasta. Do tego tyle kopci, gdyby chociaż z filtrem. Wieszczyć szybką drogę do zawału.

A tam, ponad Krakowem, Polska, w której jestem zanurzony od dziecka, której coraz bardziej świadomy jestem i jednocześnie nią struty, coraz mniej w niej koloru, coraz więcej czerni i radykalnej bieli, coraz więcej przejaskrawiania tych dwóch antagonistycznych barw w mediach, w internecie, w dyskusjach przy piwie i w tramwaju.



Ale nie tylko w tym kraju dwie prędkości, bo i cała Europa w różne wektory rozdartą, już Brytyjczycy kotwicę podnoszą, od portu odpływają na morze, na samotny rejs, odzywa się wyspiarska krew.

Syczę i odrzucam kiepa. Papieros przypala mi końcówki palców, ślinię, zawężam pole widzenia do zaczerwienionych opuszków, a kiedy jest już dobrze, wyciągam smartfona, naciskam guzik, ekran wypełnia się kolorem, w kolorze Alicyjka w ogrodniczkach, pod ogrodniczkami brzuch wydęty, w niej nowe, za nią też nowe: dom i las. Wiadomość, chcę przeczytać, ale ktoś dzwoni.

Dzwoni domofon. Pora zdać przeszłość.

Siedzę, a raczej balansuję z gracją linowego skoczka cyrkowego z jednym półdupkiem na wysokim stołku, z drugim nad przepaścią podłogi, łokcie ułożone na barowej ladzie, obok mnie filiżanka kawy za sześć złotych z bitą, jak się tu mówi, i prince polo w złotku za złoty pięćdziesiąt, kupione u pani za kontuarem, tej samej, która, kiedy pytam o cukier, wskazuje pomarańczową, peerelowską cukiernicę z wystającą łyżeczką, którą wszyscy klienci – wiadomo: *amicorum omnia communia* – słodzą. Wokół mnie stare, eleganckie zgredy, sześćdziesiąt plus, przez znawców żywych zabytków, jak ten lokal, nazywane besserwisserami, dawną krakowską bohemą, co do kawiarenki przychodzili pooglądać pikasy i podyskutować o polityce i kulturze. Kafejkę na Świętego Jana dwa odkrywam dawno temu, kiedy szukam miejsca, w którym mógłbym schronić się przed deszczem i dziewczyną spod różowego parasola zapraszającą do strip clubu. Wita mnie spojrzenie zdziwionych, oprószonych siwizną bywalców lokalu oraz pytanie pani zza lady: czy chcę czarną, z płynną czy z bitą. Z bitą biorę wtedy i z bitą biorę za każdym razem, kiedy odwiedzam bar kawowy Rio. Kiedyś, wspomina tamtego deszczowego południa pani zza lady, to było pełno studentów, teraz mają swoje miejscówki; kiedyś tu, nade

mną na szafce była centralna baza danych, zostawiało się liściki i wiadomości, a ja jak łączniczka-konspirantka przekazywałam wiadomości i liściki nieobecnym znajomym, uśmiecha się do mnie, do nieobecnych znajomych, do wspomnień; kiedyś nawet Andrzej Zaucha śpiewał o nas piosenki, chrząka i nuci: Póty będzie świat, póki w Warszawie staż i póki w Rio podają kawę; ale nie ma już kiedyś, jesteście my, geriatrya. Proszę, kawa z bitą.

Po tym wydarzeniu, jako jedynemu młodziakowi w domu starców, zdarza mi się wpadać częściej na najlepszą (w poprzednim wieku) kawę w mieście. Uznaję, że dzisiaj jest to dobre miejsce na pożegnanie się nie tylko z Krakowem, ale i z moim starym kumplem, Koneją. Spóźnia się kwadrans i mam szczerą nadzieję, że nie przyjdzie. Koneję lubię, może mniej niż kiedyś, nasze drogi rozcho-  
dzą się, odnoszę wrażenie, rozjeżdżają coraz bardziej. Niemniej jest to mój dobry znajomy, parę lat temu nawet przyjaciel. Wyjechać z Krakowa i przynajmniej nie przekazać Konei, że chciałbym się pożegnać, ostatnią wspólną kawę, a w jego przypadku pewnie piwo, wypić, to zwykłe chamstwo. Mam jednak nadzieję, że zapomniał, że wypłukał ze swojej pamięci moje: cześć, Koneja, wyjeżdżam, spotkajmy się ten jeden ostatni raz, z rana w Rio. O moim kumplu przypominam sobie wczoraj wieczorem, przypadkiem w zasadzie, w tym natłoku spraw, podczas przeglądania krakowskich znajomych, byłych krakowskich dziewczyn i kasowania ich numerów. Niepotrzebne mi będą z dala od tego miasta. I oczywiście pojawia się Koneja, zaraz po Katarzynie-Latarzynie. To dzwonię, mam nadzieję, że nie odbierze, odbiera, ale w pubie, jest głośno, to liczę, że zapomni, nie dosłyszysz albo zwyczajnie przesadzi, upije się i teraz śpi. Daję mu jeszcze pięć, góra siedem minut.

# KAŻDY MA WSPOMNIENIA. KAŻDY SWOJE. A PAMIĘĆ KUSI, BY NIE BYĆ JEJ WIERNYM.

Bartek kończy właśnie książkę inspirowaną niedawną zbrodnią. Ma morderstwo: w Brzezinach Śląskich młodociany Cygan zabił w afekcie swoją rodzinę, po czym zwariował i został zamknięty w zakładzie. Bartkowi czegoś jednak brakuje w tej opowieści. Coś się nie zgadza.

Po przypadkowym spotkaniu z dawnym przyjacielem dopadają go wspomnienia o byłej dziewczynie, prawdziwej heroinie. Pod ich wpływem ponownie drąży sprawę morderstwa. Mętny trop prowadzi do niepokojących interpretacji. Tu zaczyna się prawdziwa podróż bohatera. Od tej pory żyje jednocześnie we dnie i w nocy, w świecie realnym i irracjonalnym.

Równocześnie Bartek mierzy się z własnymi demonami z przeszłości. Pragnie się zakorzenić, zamieszkać ze swoją ciężarną partnerką, porzucić kawalerskie życie, zbudować przyszłość. Ale nie potrafi.

*Zabobon* to powieść o kluczeniu w labiryntach pamięci, o kłamstwie, w którym każdy ma swój udział, i o niebezpieczeństwie stojącym za rolą twórcy. Mocna, oryginalna, nieprzewidywalna.

[www.morginesy.com.pl](http://www.morginesy.com.pl)



ceena 37,90 zł

TYTUŁ TYTUŁ

cityboard  
media



[lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)

w sprzedaży także

